

Podglądać, podsłuchiwać

BARBARA SNUZIK

Lubię moją Sąsiadkę z mieszkania obok. Co jakiś czas mam zaszczyt być niewidzialnym gościem honorowym na jej występach – i to tych najlepszych. Nie scenicznych, a wieczornych, granych tylko dla siebie, ewentualnie dla grupy przyjaciół. Gra sobie na bębnie, a przy okazji mnie na bębnowych błonach. Sam dźwięk bębna tworzy atmosferę, w której łatwo wejść w głąb siebie, łatwo wpaść w trans i zapomnieć o drobiazgach.

Najbardziej tajemnicze są coroczne ceremonie z okazji urodzin Gospodyni. Na początku słychać tylko ogólne zamieszanie, głośnie rozmowy, w tle muzykę z płyty. Są to utwory, których wcześniej nie znałam, bardzo rytmiczne, żywiołowe, etniczne, może indyjskie. Dźwięki fletu, bębnów, śpiew. Wyobrażam sobie gości siedzących na wielkich, kolorowych poduchach, na niskim stoliku stoi wino, zakąski, jakieś przysmaki, świece. Wszystko za kaminowym woalem. Intensywne zapachy, muzyka, śmiech. Nikt nie pali papierosów, jak na imprezie w klubie, nikt nie czuje, że za dużo wypił. Przyjaciele.

Potem słychać gromkie „sto lat” przy dźwiękach całej zgrai bębnów. Ta prosta melodia staje się przedmiotem dalszych improwizacji. Grają i po prostu śpiewają mocnymi, trzeźwymi głosami. Już po kilku minutach rytm nie przypomina „sto lat”, ale coś zupełnie innego, magicznego.

Wtedy im zazdroścę. Tak jak wtedy, gdy słyszę dźwięki koncertu, na którym nie mogę być; jak wtedy, gdy cała rodzina ogląda w drugim pokoju mój ulubiony film, a ja się uczę albo sprzątam. Tak bardzo im zazdroścę, że siadam jak najbliższej ściany, zamykam oczy, żeby czuć się gościem, niewidzialnym, ale jednak gościem.

Zastanawiam się, czy nie żyjemy tak samo, obok siebie, przedzieleni murem skóry. Każdy z nas podsłuchuje kogoś, podsłuchuje myśli, ale ich nie widzi. Wydają się one bezkształtną zbitką, której nawet zobaczyć nie można, jedyne co zostaje to gra wyobraźni. Pozwalamy na to, by ktoś był iluzją, był tym, kim chcielibyśmy. Gdyby pozwolił zajrzeć do środka, runęłyby marzenia i pozostałaby prawda.



Poznawać ludzi, to jednak ryzyko.

Nie zdarzyło mi się dotąd poznać Sąsiadki zza ściany, choć pewnie widziałam ją wielokrotnie nie wiedząc, że to ona... Nie wiem jak wygląda, znam tylko jej głos, wielokrotnie przez domofon uprzedzała nas o imprezie. Nie ubolewam nad tym.

Uwielbiam podpatrywać i podsłuchiwać ludzi. Robię to już codziennie, nałogowo i bezwolnie. Jeżdżę autobusem, ale specyficznym, bo darmowym, wożącym ludzi do znanego hipermarketu. Towarzysze mojej podróży traktują ten autobus podobnie, jako możliwość zaoszczędzenia paru groszy. Ile zabawy! Niezliczone możliwości obserwowania ludzi. Różnych, zazwyczaj biednych, też oszczędzających na bilecie.

Mam czasami potrzebę pójścia do opery, a innym razem chęć przejechać się darmowym autobusem. Odchamić się i dochamić. Uwznioślić się i spokornieć. Studia, nabywanie sekretnej wiedzy, pokonywanie kolejnych stopni mądrości, wszystko to wiąże się z przekraczaniem granic skromności. Dlatego siedząc obok starszego, zmęczonego Pana, którego los obsypał piaskiem, a może błotem, podsłuchuję i wyobrażam sobie, że goszczę w jego świecie. I choć moim pragnieniem nie jest być w tym świecie naprawdę, bo inaczej sobie wyobrażam swoje życie, to nie chcę, żeby był on zupełnie mi obcy i niezrozumiały. Tego Pana też lubię.

Fasola na śniadanie

MONIKA GRADZIK

Mój kolega kiedyś powiedział, że woli być biedny, ale otaczać się pięknymi ludźmi i jeść smaczne jedzenie... Coś w tym jest, zważywszy na fakt, iż ja w tym czasie pracowałam we włoskiej restauracji w małym mieście nieopodal Manchesteru. I o niczym bardziej nie marzyłam, jak o kotleciku schabowym z kapustą kiszoną.

Pamiętam jak wysiadłam po dwudziestoczterogodzinnej podróży na międzynarodowej stacji autobusowej w mieście Londyn. Oprócz lekkiego podniecenia pomieszanego z zapachem potu – nie wiem, mojego czy mojej towarzyski – poczułam też dziwne wrażenie swojskości. Prawdopodobnie wprawił mnie w nie widok panów, którzy na pierwszy rzut oka wyglądali jak po kilkudniowych obchodach imienin sąsiada Henia, czy po obchodach święta pracy. Byli to panowie w obdartych spodniach, czapkach zsuniętych na bok i lekko zaplamionych kurtkach: nie wprawiali swoim widokiem w optymizm. Ku mojemu zaskoczeniu, albo i może nie zaskoczeniu, lecz rozczarowaniu, mówi-

li w moim rodzimym języku. Przerwywając swoją wypowiedź średnio co trzy słowa powszechnie znanym przerwanikiem zaczynającym się na literę k. Tak się zaczęło.

Piszę o tym, ponieważ jest to temat bardzo aktualny. Wszyscy wyjeżdżają, albo już wyjechali, albo planują. Czemu? Przecież każdy, kto tam jest, w zasadzie narzeka – na pracę, na to że jest albo że jej nie ma, na szefa, na mieszkanie, zawsze na jedzenie (tu się zgadzam), na miłych kierowców w autobusach (bo tacy głupi są, że się do każdego uśmiechają), na brak ładnych kobiet (no, chyba że Azjatka). Narzekanie to nasze narodowe schorzenie, którego choćby nie wiem jak, nie da się wyleczyć. Czemu tak jest, że wraz ze skarpetkami i płynem do golenia zabieramy ze sobą pesymizm? Może po latach zaborów, potem okupacji, a potem jeszcze permanentnej inwigilacji i kontroli wielkiego brata radzieckiego, nie możemy wyleczyć się z kompleksów i uprzedzeń, pielęgnujemy je wręcz namiętnie? Gdy ktoś się mnie pytał o Polskę, to byłam zmuszona

tłumaczyć, że to wcale nie jest Rosja, że też oplakiwaliśmy śmierć Kurta Cobaina, a nawet że w niektórych miastach jest metro. Uprzedzenia między narodowościami powinny być mi obce. Ale skłamałabym, gdybym trwała przy tym stanowisku, za które jeszcze rok temu byłam w stanie kłócić się przy kotleciku, zakładać się o miliony złotych, których nie posiadam, powalczyć na śmierć i życie z przyjacielem z dzieciństwa, czy uderzyć ręką w stół. Anglicy to w końcu dziwny naród ze swoją królową i fasolą na śniadanie. Włosi strasznie dużo krzyczą, a Słowacy zawsze mówią, że chcą się nauczyć angielskiego i się nie uczą. Często się tam czułam jak w klatce wariatek o wschodzie słońca.

Gdy wracałam do Polski czułam się jakbym wygrała milion dolarów, pamiętam Polaków czekających na lot, nerwy, że się opóźnia i strach, że nigdy stąd nie wyjadę, moje łzy, jak zobaczyłam brata, moją mamę z kotletem i kapustą kiszoną, i wtedy wszyscy mieli milion dolarów.

Sylwester w Anglii

ANDRZEJ MAZUREK

Sylwester w Anglii znajduję jako dość interesujące doświadczenie pt. „Co kraj, to obyczaj”. Osobiście zrobiłem swoje, tzn. napiłem się wódki. Umiarkowany charakter tego corocznego ekscesu podyktowały mi rodzinne obowiązki opieki nad progeniturą („Słowianie, my lubim sielanki” – chyba F. Karpiński). Stara w tym czasie musiała tyrać na kawałek angielskiego chleba, który od czasu do czasu musimy wprowadzać do organizmu, żeby nie zdechnąć z głodu i tęsknoty za krajem ukochanym naszym („...i przenos mnie do pól tych malowanych zbożem rozmaitem.” – niewątpliwie A. Mickiewicz).

Osobiście z moją córką Laurą postanowiłem wtopić się w gorącą atmosferę obchodów noworocznych w miejscu swojego zamieszkania, czyli w Bourne. No i – nie powiem – udzieliło nam się to napięcie oczekiwania

na przełom czasowy w historycznym mieście Albionu. Na krótko przed godziną 0:00 ekscytacja zbiorowa miejscowej społeczności w sposób pulsacyjny zmierzała nieuchronnie do apogeum. Przejawiało się to w zbiorowych wyjściach z pubów, aby przeżyć osobisto – astronomiczno – egzystencjalny przełom pod gołym niebem. Wokół rozlegał się gwar – niecierpliwych w oczekiwaniu – rozmów miejscowego społeczeństwa obywatelskiego. Poszczególne grupki, przynależne do określonych pubów ścigały do centralnego punktu w mieście, czyli pod ratusz. W Polsce w tym czasie ludzie leżeli już twarzami w sałatkach – vide: różnice czasowe („adnażdy haziąjka z bazaru przisła”... itd. – zapamiętane). No więc w krótkim czasie w centralnym punkcie Bourne zebrał się spory tłum rządnych dalszych wrażeń mieszkańców. Porządku i bezpieczeństwa pilnowało trzech zaprzyjaźnionych („I am your friend”) policjantów, rozstawionych na przeciwnych krańcach wspólnego placu zabaw w sylwestrowe koci, koci łapki. Nagle... wybiła dwunasta! Na jasnej tarczy ratuszowego cyferblatu wszyscy dojrżeli, że duża wskazówka pokrywa się z małą. Ojej!!! Reakcja była przytomna i bardzo natychmiastowa – zaczęto składać sobie życzenia. Tak zwanym „niedźwiadkiem” nie było końca. „Happy New Year” wydobywało się z każdych ust. Zewnętrzne przejawy uczuć były w różnym stopniu nasilone: od miłośno-czułych, do bardziej na dystans. Było to wspaniałe. I wszystko spokojnie, i wszystko pod kontrolą przyjacielskiej policji. Niestety zdarzył się przykry incydent. Oto Laura, jedenastolatka z Polski, wraz ze swoją koleżanką (też z Polski) zaczęły odpalać kapiszonowe fajerwerki. Ponieważ eksplozje były głośniejsze niż rozmowy na ulicach - zwróciło to uwagę najbliższej stojących uczestników tej hucznej imprezy. Patrzyli z niepokojem jak po eksplozji

kapiszona, z fajerwerku wylatywały niebezpiecznie kolorowe papierki, bezkarnie zaśmiecając ulicę. Bystre oko stojącego o 30 metrów dalej policjanta błysnęło czujnie. Obserwacja się wzmogła i trwała dopóki ostatni kapiszon nie został odpalony. Trzeba przyznać, że kapiszonowa kanonada była bardzo dynamicznym momentem imprezy i stanowiła najgłośniejszy akord Nowego Roku w skali zbiorowej (w Polsce wrzuca się petardy do kapturów i przynajmniej jest śmiesznie).

Następnym punktem masowych szaleństw pod gołym niebem było rozejście się rozentuzjzmowanego tłumu do swoich pubów. We wzajemnym poszanowaniu i ze świadomością przestrzegania norm współżycia społecznego, wesoło gwarzając, ludzie podreptali w zacisza kominkowych wnętrz. Policjanci, nie mając już nic do roboty, pozbięli z ulicy stłuczone (a fe!) kieliszki i odjechali w mroczną dal styczniowej już nocy z poczuciem ulgi i dobrze spełnionego obowiązku. Ja z Laurą wróciłem na West Street do swojej wiktoriańskiej chałupy, aby wyleczyć się z zawrotów głowy po tak oszałamiających przeżyciach sylwestrowej nocy w Bourne.

Tak sobie teraz myślę. Po jaką cholere tak się kosmicznie szarpać i podniecać, że Nowy Rok, że człowiek o rok starszy, że plany nie zrealizowane, że „Jaki będzie ten rok, co przyniesie?” etc.

Patrząc na Anglików, na ich umiar w okazywaniu uczuć, powściągliwość we wszystkim, spokój i dobre manery – tak sobie myślę – może to jest lepsze podejście do wielu spraw, niż wyuczona gonitwa z zaciśniętymi zębami i wiecznymi wypiekami na twarzy. Oczywiście nie ma co wchodzić w obcą skórę, ale podoba mi się zyczajowe, zawsze obecne i estetyczne: *Keep smiling.*



Pierwszy świt 2018 roku w Vancouver